

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Nabożeństwo żałobne za duszę Adama Mickiewicza.
odprawione przez J. E. kardynała Dunajewskiego, Xięcia Biskupa Krakowskiego, w katedrze na Wawelu
przed złożeniem zwłok wieszczą w grobach królewskich d. 4 lipca 1891 r.

W półwiekową rocznicę.

... Ty byłeś jednym, jednym z tych nie wielu
Wśród twórczych duchów i sztuki mocarzy,
Co wieszczym głosem wzywając do celu
Sam ostrą drogą w przedniej kroczył straży.
Co nie stanąłeś i na bok nie zszedłeś,
Gdzie pieśń twa poszła i ty tam poszedłeś!

Ig. Balinski.

(Z wiersza „W półwiekową rocznicę śmierci Mickiewicza“.)

Dnia 26-go listopada upłynęło 50 lat od śmierci Adama Mickiewicza.

Czyż potrzebujemy dziś wam przypominać, czytelnicy, kim był Mickiewicz i co mu zawdzięczamy?

To zbyt cenne, bo niema polskiego młodzińca ani polskiego dziewczęcia, coby dzieł naszego największego wieszca narodowego nie znali, serc swych i umysłów w poczuciu prawdy, piękna i dobra na nich nie kształcili.

Więc powiemy wam dziś jedynie o ostatnich chwilach tego, który „ukochał za miliony“ i w milionach serc ukochanie znalazł.

Tak zwana wojna Krymska, o której zapewne niejedni z czytelników „Wieczorów“ wiedzą z historii, wzbudziła nadzieje w Polakach, zamieszkałych wówczas poza obrębem kraju ojczystego i składających tak zwaną emigrację, że zajdą zmiany polityczne, które będą mogły polepszyć położenie ziemi rodzinnej.

Jednym z tych, co największe żywił nadzieje w tej mierze był Mickiewicz, który nie chcąc, aby bieg wypadków zastał rodaków nieprzygotowanymi wystąpił z projektem utworzenia legionu polskiego na Wschodzie i sam czynnie zajął się urzeczywistnieniem swego planu. Wyjednałszy zasiłek rządu francuskiego, dnia 11 września opuścił Paryż i na statku „Tabor“ udał się z Marsylii do Konstantynopola.

W ojczyźnie minaretów tysiące uczuć i myśli ożywiało ducha wieszca, uświadamiającego sobie ogrom podejmowanego zadania.

Organizacja legionu natrafiła na mnóstwo przeszkód.

Mickiewicz, choć sam smutny z tego powodu, krzepił wątplących, godził zwaśnionych, porozumiewał się z osobami wpływowemi, korespondował z ks. Czartoryskim, kołatał wszędzie dla dobra sprawy, nigdy nie tracąc wiary, bo zawsze mając przed oczyma sztandar z hasłem: „Ojczyzna“.

Wśród ciągłych starań i zabiegów mijali październik i listopad, aż niespodziewanie w nocy na 26-ty listopada, Mickiewicz zasnął.

Ale rano czuł się lepiej: otrzymałszy pomyslnie wieści o rezultatach swych zachodów,

był dosyć wesoły i długo rozmawiał z pułkiem Kuczyńskim.

W czasie rozmowy nadmienił:

— Wiesz, że m się zaczął uczyć po turecku. Lękam się tylko, by się ze mną tak samo nie stało jak z jednym z królów naszych, o którym kronika mówi, że już niezłe sylabizował, kiedy go śmierć zaskoczyła. Potem, przechodząc na temat wojny bieżącej, wyraził zdanie, iż każdy z polskich emigrantów powinien być wziąć w niej udział.

— Ja w tem przekonaniu opuszczałem Francję, że gdybym wiedział nawet, iż gdzieś w Turcyi mam umrzeć na cholere, tobym się nie wstrzymał, bo tam jest dziś moja powinność. Wolę bowiem być pisarzem w jakimś pułku polskim, niż kanclerzem instytutu francuskiego.

Około południa Mickiewiczowi zrobiło się znów niedobrze, położył się więc do łóżka, ale nikt tem nie był zatrwożony i prawdziwym gromem dla otaczających była wiadomość lekarza, że to jest cholera.

Mickiewicz zażądał od Henryka Służalskiego, swego nieodstępного prawie towarzysza przez czas podróży i pobytu w Konstantynopolu, aby powiedział prawdę, co mówią lekarze.

— Mówią, że możesz umrzeć — była odpowiedź.

— Każ mi zawołać księdza Ławrynowicza, rzekł wówczas Mickiewicz i dodał: „Weź pióro“!

Kiedy się jednak Służalski zbliżył spełniając życzenie, rzekł:

— Nie mam siły. Powiedz moim dzieciom, niech się zawsze kochają między sobą.

Później nieco przyszło jeszcze dwóch lekarzy Polaków i wreszcie doktor Drozdowski, który, gdy Mickiewiczowi po krótkotrwałym śnie znów zaczęły dokuczać bole nakazał robić mocne wcieranie.

— Oni mi zedrą skórę jak biednemu pułkownikowi Idzikowskiemu, — zawołał Mickiewicz: a ona mi nazad nie porośnie.

— Niebawem boleści powiększyły się znowu; chóry znosił je bez skargi.

Pułkownik Kuczyński, który był wyszedł, wiedziony smutnem przecuciem, wrócił około szóstej.

Mickiewicz poznał go i już będąc w agonii, rzekł.

— Kuczyński, pułk kozaków otomańskich, To były ostatnie słowa Wieszca.

Umierał tak jak żył z myślą o ojczyźnie.

O godzinie 9-ej wieczorem życia dokonał z zupełną przytomnością umysłu, z smutnem wejrzeniem, nic nie mówiąc.

W ostatniej chwili ksiądz Ławrynowicz włożył nań Oleje święte.

Armand Lewy zamknął mu oczy. Po dwudziestu czterech godzinach zwłoki zabalsamowano, a po załatwieniu licznych formalności dnia 30 grudnia nastąpiła eksportacja zwłok do portu Top-Hana, prowadzona przez księdza Ławrynowicza w otoczeniu innych księży polaków, przebywających wówczas nad Bosforem. W oddaniu ostatniej posługi wzięli udział prócz licznej gromady Polaków, przedstawiciele wszystkich narodów słowiańskich, Grecy, Żydzi oraz sporo osób innych narodowości.

Naoczny świadek eksportacji, żyjący dotychczas w Szwajcaryi powieściopisarz Zygmunt Miłkowski, znany ogólnie pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża, tak opisuje wyruszenie konduktu pogrzebowego.

„Zebrało się nas sporo, coś kilkuset. Ze Skutari nadciągnął oddział piechoty tureckiej pod bronią, z krepą na karabinach i bębnach.

Wązka a kręta uliczka zapchana była ludem.

Czekaliśmy na karawan. Stałem nieopodal. Widziałem jak wyniesiono z trudem niemałym trumnę wielką“.

D. 8-go stycznia 1856 r. statek ze zwłokami zawinął do Marsylii, a dnia 21 stycznia nastąpił pogrzeb w Paryżu „na cmentarzu” w Montmorency, gdzie zwłoki złożono obok zmarłej przed półtora rokiem żony Wieszcza.

Nad grobem do łez wzruszony przemówił Bohdan Zaleski, kończąc wyjątkiem z „Pana Tadeusza” z parafrazą ostatniego wiersza.

„Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie, Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem.
Wywiedz stąd zwłoki wieszczą do Ojczyzny cudem“.

„Cud” się spełnił. W niespełna ćwierć wieku później śmiertelne szczątki nieśmiertelnego Wieszcza spoczęły w Krakowie na Wawelu obok królów i bohaterów polskich.

Ten który cały okres życia swego tułaczego tęsknił do swoich, odczuwając wszystkie nastroje ducha narodu i ducha ludzkości całej, spoczął nareszcie wśród swoich.

Po całej ziemi polskiej „cześć” oddano wielkiemu synowi narodu: Poznań, Lwów, Warszawa hołd złożyły pamięci jego, stawiając pomniki.

Teraz w półwiekową rocznicę postanowiono i w Wilnie, sercu Litwy, korzystając z reform ostatnich, dać wyraz ożywiającym społeczeństwo całe uczuciom i urzeczywistnić myśl z jaką wystąpił „Kuryer Litewski” wystawienia pomnika Wieszczowi w tym grodzie, gdzie najpiękniejsze chwile swej młodości przeżył i przemarzył.

Mowa Henryka Sienkiewicza

przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie
d. 24 grudnia 1898 r.

„Duch jego był zawsze między nami, ale serca chciały mieć blisko jego ziemską postać, a oczy tęskniły do niej — tęskniły tak długo i tak gorąco, że stał się wreszcie ów cud, który on — nasz wieszcz, pierwszy przewidział i wyśpiewał:

«Jak bajeczne zórawie na dzikim ostrowie,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił,
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...»

„I tak się stało. Na kształt owych ptaków, które chłopcu rzucały swe pióra, wszyscy mieszkańcy tej krainy, zarówno możni, jak biedni, póty z takim wytrwaniem i tak nieprzebraną miłością znosili swój grosz ofiarny, póki nie nadeszła szczęśna chwila, w której wieszcz wrócił do nas i stanął między nami — nasz wielki i umiłowany!

„Jeśli ludy, żyjące pod prawem Chrystusa, wznoszą (lub wznosić powinny) posągi takim tylko swym synom, którzy albo chwałą okryli swój naród, albo chociaż z ofiarą życia, wskazali mu nowe szlaki, wielkie cele, wielkie idee, albo wreszcie, czy to dziełami sztuki, czy potężnym twórczym słowem umieli wyrazić najszlachetniejsze porywy piersi ludzkiej, to z dumą możemy powiedzieć, że niema w świecie pomnika, któryby wzniesion był słuszniej i sprawliwiej. Bo gdyby zwrócić się do tych tysięcy i zapytać: kto opromienił was największą sławą? kto najpotężniej wyraził to, co w was jest cne i szlachetne, co idzie z Boga, co jest Wiarą, Nadzieją i Chrystusowem przekazaniem miłości? — kto kochał za miliony? — wówczas wszystko co do jednego ramiona wyciągnęłyby się ku tej uwielbionej głowie i wszystkie piersi wydałyby jeden okrzyk: „Ten jest!“
„Był największym między swymi wieszczem i jako poeta zajaśniał słonecznym światłem sławy — więc otoczyły go podziw i cześć; ogrzewał jak słońce — więc dawał życie; miał być arką przysmierza między dawnymi, a nowymi laty, więc życiu temu dał moc taką, jaką ma drzewo olbrzymie, które korzenie głęboko w rodzimą ziemię zapuszcza, a czoło wznosi ku niebu; wypleniał nienawiść, a uczył kochać, więc zebrał plon miłości.

„I ta to właśnie, wiecznie jak żywe źródło bijąca moc życia, ta cześć i ta miłość złączone razem, wzniosły ten pomnik, w którym tkwią zaklęte w spiz dwie nieśmiertelne dusze: jego i nasza!

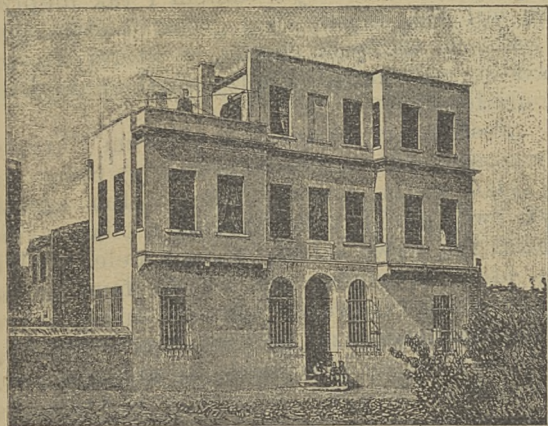
„I oto jest między nami! Oto zamieszka na wieki wśród nas. Zaiste wielka, po dwakroć szczęśna i pamiętna chwila! Niechajże będzie pozdrowion w Warszawie! Niech schylą się przed nim głowy, a podniosą się ku niemu serca i niechaj usta nasze wykrzykną w radosnem uniesieniu: Chwała ci, królu pieśni!“

Z „DZIADÓW” (Cz. III).

DUCH (do Konrada).

Człowieku! gdybyś wiedział jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza.
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromy — żywioły.
Tak czekają twej myśli szatan i Anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz:
A ty jak obłok górny ale błędny pałasz,
I sam nie wiesz gdzie lecisz, sam nie wiesz co
|zdziałasz...

Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwać i podźwignąć trony.



«Dom Mickiewicza» w Konstantynopolu.

J. Korzeniowski (Conrad).

MŁODOŚĆ.

(ciąg dalszy.)

Za skarby świata, nie wyrzekłbym się doświadczenia, przez które przechodziłem. Wpadałem chwilami w zapał. Ile razy z maltretowany nasz okręt podnosił ciężko swój łeb do góry, zdawało mi się, że on śle w te groźne, nielitościwe chmury wyzwanie do walki, wyrażone w słowach dewizy:

„Czyń lub giń“.

O Młodości! Mocy jej, wiaro, wyobraźnio!

Dla mnie, nie był nasz statek rozklekotaną skorupą, wiozącą ładunek węgla — ale był usiłowaniem, próbą, walką życiową! Myślę o nim z przyjemnością, miłością i żalem — jak o kimś drogim a zmarłym. Nigdy o nim nie zapomnę!

Pewnej nocy, gdy przywiązani sznurem do masztu, pompowaliśmy z całych sił, ogłuszeni

hukiem nawałnicy, tak zgnębieni i bezsilni, iż nawet na pragnienie śmierci zdobyć się nie mogliśmy — olbrzymi bałwan runął na nas i przewalił się na drugą stronę. Gdy tylko tchu trochę złapałem, krzyknąłem, jak to było mym obowiązkiem — chłopcy! trzymać się ostro! — nagle coś ciężkiego uderzyło mnie w nogę. Schyliłem się, ale nic nie złapałem. Było tak ciemno, iż twarzy naszych, widzieć nie mogliśmy — rozumiecie?

Po tym gwałtownym wstrząśnieniu, chwileczkę było spokojnie i znów tu coś twardego, uderzyło mnie w nogę. Tym razem udało mi się złapać, była to patelnia. W pierwszej chwili, ogłupiały ze zmęczenia i myślenia jedynie o pompach, nie pójmowałem co trzymam w ręce.

Nagle zrozumiałem i krzyknąłem.

— Chłopcy! runął domek na pokładzie! Zostawcie to, chodźmy ratować kucharza!

Na pokładzie znajdował się domeczek, mieszczący rozmaite sprzęty, tam też spał kucharz i ludzie z załogi. Ponieważ już dawno spodziewaliśmy się, że woda go zniesie, załoga miała nakazane sypianie w kajucie, jedynym bezpiecznym miejscu na całym okręcie. Jeden tylko Abraham, z uporem muła, nie chciał opuścić swego hamaku po prostu ze strachu, jak przypuszczam — w czasie trzęsienia ziemi, żadne zwierzę stajni swej opuścić nie chce.

Poszliśmy więc go szukać. Groziło to śmiercią, gdyż pozbawieni wiążącego sznura, lada chwila mogliśmy być przez wiatr zdmuchnięci. Jednak poszliśmy. Domek rozleciał się tak, jak gdyby bomba pod nim pękła. Woda zniosła wszystko i piec i narzędzia i wszystkie przedmioty do załogi należące, cudem tylko trzymały się jeszcze dwa słupy, do których hamak Abrahama był przytwierdzony. Potykając się w ciemności, doszliśmy do niego, siedział najspokojniej w tej ruinie i żywo ze sobą rozmawiał.

Zwarjował, najzupełniej i na zawsze zwarjował, wskutek gwałtownego wstrząśnienia po takim wyczerpaniu. Schwyciliśmy go i zrzuciliśmy do kajuty. Rozumiecie, że nie mieliśmy czasu, by go ze wszelkimi ostrożnościami znieść i przekonać się o jego stanie zdrowiu. Ci na dole, schwycą go u końca schodów, a my spieszyć musimy do pomp: te czekać nie mogą.

Zdawałoby się, że jedynym celem tego piekielnego orkanu było — doprowadzenie do warjacji nieszczęsnego mulata. Przed świtem zcichł zupełnie, niebo wypogodziło się, morze uspokoiło się i woda mniej przez szpary napływała.

Gdy zdołaliśmy rozpiąć nowe żagle, załoga domagać się zaczęła, by wracać do domu, i rzeczywiście cóż lepszego zrobić moglibyśmy?

Łodzie zginęły, pokład na czysto wymieciony, do kajuty przecieka woda, ludziom ani jednej szmaty nie pozostało, prócz tego, co mają

na sobie, zapasy zmarnowane, okręt ledwie się trzyma.

Zawróciliśmy ku domowi i co powiecie?

Wiatr skreślił i dmuchał nam prosto w twarz, ostro, nieustannie. Musieliśmy walczyć o każdy krok naprzód, ale na szczęście, morze było stonkowo spokojne i dwugodzinne pompowanie, co parę godzin, utrzymywało okręt na powierzchni. Tak dopłynęliśmy do Falmouth.

Zajęto się tam nami gorliwie; wyładowano węgiel, opatrzone, załatano spód okrętu, a gdy wszystko było ukończono, zebraliśmy nową załogę i wyruszyliśmy do Bangkok.

W końcu tygodnia zjawiliśmy się z powrotem. Załoga oświadczyła, że do Bangkoku nie popłynę w skorupie, wymagającej ośmiogodzinnego pompowania na dobę; w gazetach pojawiło się takie ogłoszenie.

„Indea“ płynąca z ładunkiem węgla do Bangkoku, wróciła do Falmouth. Załoga odmówiła posłuszeństwa. Okręt potrzebuje naprawy.

Nowa zwłoka—nowe łatanie dziur.

Obecny właściciel „Indei“ zjawił się tam, obejrzał okręt i oświadczył, że wszystko jest w porządku. Biedny nasz kapitan wyglądał jak cień ze zmęczenia i upokorzenia. Pamiętajcie, że miał już lat sześćdziesiąt, a pierwszy raz był kapitanem, Mahon oświadczył, że to psi interes i źle się skończy. A ja kochałem więcej niż kiedy nasz okręt i gorąco pragnąłem znaleźć się w Bangkok! czarodziejska nazwa!

Miałem lat dwadzieścia, pierwszy raz na odpowiedzialnym stanowisku, a tu Wschód jeszcze czeka na mnie! Wy płynęliśmy z nową załogą—z trzecią. Tymczasem woda przeciekała więcej niż kiedykolwiek. Zdawało się, że ci łatacze okrętowi, właśnie teraz dziurę w okręcie wywiercili. Nie wydostaliśmy się nawet na szerokie morze tym razem. Załoga nie chciała brać się do pracy.

Przyholowano nas do wewnętrznego portu i staliśmy się częścią składową miejsca tego.

Ludzie wskazywali nas zwiedzającym port i opowiadali.

— Okręt ten płynął do Bangkoku — przebył tu sześć miesięcy—wracał trzykrotnie.

W czasie świąt, mali chłopcy włazłszy do łódki przepływali ku nam i wołali,

— Indea! a dokąd się wybierasz? Do Bangkoku! Śmiechom i żartom nie było końca.

We trzech pozostaliśmy na okręcie. Biedny kapitan rozmyślał w kajucie. Mahon zabrał się do gotowania, nadspodziewanie, okazał prawdziwy talent kucharski. Ja tęskny wzrok zapuszczałem w dal. Staliśmy się obywatelami Falmouth. Zapytywano nas poufale.

— Czy wy doprawdy myślicie dostać się do Bangkok?

Położenie było okropne. Moralnie przygnębiało więcej niż wieczne pompowanie. Zdawało się, że świat o nas zapomniał, nie należeliśmy do nikogo, nie mieliśmy żadnego przeznaczenia; zdawało się, że jak zakłęci do skończenia świata pozostaniemy w tym porcie, na pośmiewisko pokoleń całych. Otrzymałem trzymiesięczną pensję i urlop pięciodniowy — poleciałem do Londynu.

Jeden dzień zajęła mi podróż tam, drugi powrót, a trzymiesięczna pensja rozeszła się. Nie wiem nawet, jakim się to stało sposobem.

Poszedłem na koncert, jadłem śniadanie i obiad i kolację w restauracji na Regent Street i wróciłem na dzień oznaczony, przywożąc tylko komplet dzieł Byrona i książeczkę z nowym rozkładem pociągów.

Gdy wsiadł na łódkę, mającą mnie podwieźć do naszego okrętu, przewoźnik zawołał.

— Jeszcze pan tam jedzie? a ja myślałem, że opuściliście tę staruchę. „Indea“ nigdy do Bangkoku nie dojedzie!

— Głupie gadanie,—odparłem pogardliwie, ale ta przepowiednie nie w smak mi poszła.

Nagle zjawił się jakiś agent, czy coś podobnego z pełnym pełnomocnictwem.

Twarc mu kwitła od grogu, ale pocziwa dusza, okazał niezwalczoną energię. Wrócił nam życie. Podpłynął drugi okręt, zabrał nasz ładunek, a nas zabrano do suchego doku i wzięto się do naprawy. Nic dziwnego, że ten nieszczęsny okręt przeciekał.

Wymęczony do ostatnich granic gwałtowności orkanu, okręt jakby wstrętem zdjęty, wypływał wszystkie dębowe spoidła na dnie.

Wyreperowano go należycie, obito metalową blachą i „Indea“ przypominała hermetycznie zakorkowaną butelkę.

Zabraliśmy znowu nasz ładunek węgla i pewnej pięknej nocy, wszystkie szczury opuściły okręt. Były one plagą dla nas. Poniszczyły płótna, pożarły większą ilość zapasów żywności, uprzejmie dzieliły nasze łóżka i niebezpieczeństwa, a teraz, gdy okręt mógł stawiać czoło nawałnicom morskim, uważały za stosowne—zmykać.

Zawołałem Mahona, aby się rozkoszował tym widokiem.

Szczur po szczurze siadał na rampie, rzucał ostatnie poza siebie spojrzenie i skakał na okręt z którego zabraliśmy nasz ładunek. Probowaliśmy zliczyć je, ale wkrótce straciliśmy liczbę,

Mahon mruczał:

— Już niech mi ludzie nie plotą o szczurzej inteligencji. Powinny były opuścić nas wtedy, gdy tylko cudem nie zatoniłyśmy. Masz teraz dowód, jak nedorzecznymi są przesady co do nich. Porzucają dobry dla spróchniałej łupiny, w której i do jedzenia nic nie znajdują. Ot, głupie bestye!...

— Przekonany jestem, że tyle wiedzą, co jest dla nich dobre, a co niebezpieczne — ile ty i ja!

Po krótkiej rozmowie, zgodziliśmy się z tem, że opowiadanie o wielkim rozumie szcurów, sensu niema, gdyż nie jest wcale większy od ludzkiego.

Historia naszego okrętu znana była wzdłuż całego kanału, i nie mogliśmy zebrać załogi. Przesłano nam całą z Liverpoolu i raz jeszcze puściliśmy się do Bankoku.

Mieliśmy pomyślny wiatr, morze spokojne i „Indea“ sunęła w blaskach słońca. Robiliśmy tylko trzy mile na godzinę. Czegóż można było się spodziewać? Zmęczony był ten stary okręt. Młodość jego była tam, gdzie jest moja i wasza a czy znalazłby się ktoś, mogący wam wymać lata wasze i wyczerpanie? Nie wyrzekaliśmy na niego. Nam się zdawało, że urodziliśmy się i wychowali na nim, od wieków żyli tu, nie znając żadnego innego okrętu. Wyrzekanie na niego równałoby się wyrzekaniu, że drogi, wiejski kościółek własnej parafii nie jest katedrą.

Mnie i moja młodość nakazywała cierpliwość, cały Wschód był przede mną, życie całe i myśl, że zostałem tu na próbę wystawiony i wyszedłem z niej zwycięzko!

Myslałem o tych ludziach, co przed wiekami sunęli tą drogą, nie w lepszych okrętach — do krainy palm, korzeni i żółtych piasków, o ciemnocylich ludach, rządzonych przez władców, okrutniejszych od rzymskiego Nerona i wspanialszych od żydowskiego Salomona.

Sunął stary okręt, z brzemieniem swych lat i ciężarem ładunku, a ja żyłem młodością nieświadomą i pełną nadziei.

Sunął przez niezliczony szereg dni, a nowo wyłoczone motto, roziskrzone blaskiem zachodu — wołać nie przestawało:

„Czyń lub giń“.

Znaleźliśmy się na Oceanie Indyjskim, i skierowali na Jawę. Dał lekki wietrzyk. Tygodnie upływały. Okręt płynął i płynął, a w domu prawdopodobnie, poczęto nas zaliczać do zginionych.

Pewnej soboty wieczorem, byłem na służbie, załoga zwróciła się do mnie z prozbą, by im wydzielić nadprogramową ilość wody, gdyż chcą uprać bieliznę. Nie chciałem pompować z rezerwoaru o tak późnej godzinie, więc gwiżdżąc i z kluczem w ręce poszedłem na przód okrętu, gdzie stała zamknięta beczka z zapasową wodą.

Spuściwszy się w głąb okrętu, poczułem tam nieoczekiwany, a niezmiernie niepokojący śwąd. Zdawało się, że setki lamp parafinowych, od dawna paliły się i kopciły w tej dziurze.

Z przyjemnością wróciłem na pokład górny.

Człowiek, towarzyszący mi, kaszleć począł i mruknął:

— Dziwny śwąd.

Odparłem niedbale.

— Powiadają, że to dobre na zdrowie, — i pośpieszyłem dalej.

Wsunąłem głowę, w otwór wentylatora, znajdującego się w samym środku okrętu

Gdy podniosłem klapę, buchnęła jakby leciutka mgła. Powietrze idące z wnętrza, było gorące, przesiąknięte sadzą i parafinowym śwędem.

Powoli zapuściłem klapę.

Ładunek palił się.

Nazajutrz zaczął już poważnie dymić. To było do przewidzenia, rozumiecie, gdyż chociaż węgiel w dobrym był gatunku, ale tyle razy był przerzucany, iż podobny był więcej do sproszkowanego węgla, niż do czego innego. A przy tem niejednokrotnie zamókł. Deszcz padał nieustannie, gdyśmy go po raz ostatni ładowali, a teraz w ciągu tej długiej podróży — rozgrzał się i zapalił.

Kapitań zawołał nas do swej kajuty. Miał przed sobą rozłożoną mapę, wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

— Wybrzeże Australii niedaleko, — rzekł — ale ja chcę podążać do miejsca naszego przeznaczenia. Zbliży się także miesiąc huraganów; ale my swoją drogą podążać będziemy do Bangkok i walczyć będziemy z ogniem. Gdybyśmy mieli upiec się wszyscy, nie cofniemy się więcej. Spróbujmy najprzód zdusić ogień, nie dopuszczając powietrza.

Probowaliśmy. Na nic! Dym wydobywał się wszelkimi szczelinami; ukazywał się tu i tam cieniutkimi pasemkami, w sposób niezrozumiały. Przedostał się do kajut, czuć go było na całym pokładzie, nawet na najwyższym maszcie. Jasnym było, że jeżeli dym się wydobywa, to powietrze tam wchodzi. Widocznie pożar nie da się stłumić. Doprowadzało nas to do rozpacz.

Postanowiliśmy wodą zalać i otworzyliśmy. kłapy. Olbrzymie kłęby, ciężkiego, duszącego dymu buchnęły wysoko. Gdy wiatr je rozwiął, wróciliśmy do pracy.

Wzięliśmy się do największej pompy, po jakimś czasie — pękła. Nic dziwnego, była tak stara jak okręt. Zabraliśmy się do drugiej, wiadrami laliśmy wodę i tym sposobem udało nam się przelać niemało wody z Indyjskiego Oceanu, do wnętrza okrętu. Strumienie wody skrzyły się w blaskach słońca, lały się na kłęby białego w górze dymu i znikwały na czarnej przestrzeni węgla. Buchała para zmieszana z dymem. Leliśmy jak do beczki bez dna.

Było widocznie naszym przeznaczeniem pompować i wypompowywać wodę z okrętu. Raz wylewaliśmy ją dla ocalenia się od niechybnego utonięcia, teraz, jak szaleńcy, leliśmy wodę w okręt, by uniknąć spalania żywcem. A okręt wierny swej dewizie „czyń lub giń“ sunął i sunął na-

przód. Niebo było cudownie czyste, lazuruowe. Wyglądzone, szafirowe morze, skrzyło się, jak kosztowne kamienie, od końca do końca widnokregu zajmując całą przestrzeń, jak gdyby cała kula ziemską była jednym klejnotem, jednym olbrzymim szafirem.

A na tym zwierciadle wielkich, spokojnych wód Indea sunęła niepostrzeżenie, otulona w brudny dym, w smrodliwą chmurę, obojętna na te cuda morza i nieba.

Rozumie się, że przez cały ten czas nie widzieliśmy ognia. Ładunek palił się gdzieś na dnie. Pewnego dnia, Mahon rzekł mi z dziwnym uśmiechem:

— O gdyby teraz przeciekało tak, jak wówczas, gdyśmy pierwszy raz wypływali z kanału — ogień byłby dawno zalany. Wszak prawda?

— A pamiętasz te szczury? — zawołałem mimowoli.

Walczyliśmy z ogniem i kierowaliśmy okrętem tak spokojnie i starannie, jak gdyby nic nam nie zagrażało. Kucharz gotował i pamiętał o naszych potrzebach. Z dwunastu pozostałych ludzi, ośmiu pracowało, gdy czterech odpoczywało.

Każdy miał swoją kolejkę, nie wyłączając kapitana. Była równość, a jeżeli nie braterstwo istotne, to coś, przypominającego to uczucie.

Czasami któryś z ludzi lejąc wodę—krzyknął.

— Niech żyje Bankok! — reszta wybuchała śmiechem. — Ale najczęściej byliśmy smutni, poważni, i spragnieni. Ach! jak spragnieni! Musieliśmy bardzo ostrożnie z wodą się obchodzić. A tu, z dna okrętu walił się dym, a słońce oślepiało...

Próbowaliśmy wszystkiego. Staraliśmy się nawet dostać do ognia, ale bez skutku, rozumie się. Nikt, dłużej niż minutę, nie mógł wytrzymać na dole. Mahon pierwszy spuścił się, lecz zaraz zemdłał, ludzi, którzy pośpieszyli na jego ratunek — spotkał ten sam los. Z trudem wyciągnęliśmy ich na pokład. Spuściłem się i ja, chcąc pokazać, że nic to znów tak trudnego.

Przez ten czas załoga doszła do rozumu i już nikt nie śpieszył na mój ratunek, a tylko hakiem przywiązany do kija od miotły, wyciągnięto mnie na pokład. Nie myślałem wracać po łopatę, którą zostawiłem na dnie.

Działo się nam coraz gorzej. Spuściliśmy wielką łódź na wodę. Przygotowaliśmy również drugą łódź. Po dwóch dniach nieustannego zalewania dna okrętu dym przestał wychodzić.

Szeroki uśmiech ukazał się na wszystkich twarzach. Było to w piątek. W sobotę nie mieliśmy nic do roboty, prócz kierowania okrętem rozumie się.

(d. c. n.)



Jg. Baliński.

Samorząd i autonomia.

Oto wymieniałem dwa słowa, czyli mówiąc ściślej dwa terminy z dziedziny prawa publicznego, które w ostatnich czasach czytelnicy „Wieczorów Rodzinnych“ musieli bezwątpienia nieraz słyszeć w rozmowach i czytać w piśmie codziennych.

Nie niema przykrzejszego i mniej godnego człowieka myślącego, jak słyszeć powtarzane z poważnym zajęciem, — rzeczy, których się dobrze nie rozumie, lub z których nie można zdać sobie dokładnie sprawy. W szkołach średnich, dotychczas przynajmniej, nie wykładają jeszcze głównych zasad prawa państwowego, sądzę zatem, że zechcecie przeczytać z równym zajęciem i pożytkiem wyjaśnienie znaczenia tych terminów o których toczą się obecnie rozprawy, jak poprzednio przeczytaliście artykuły pod ogólnym tytułem „Co to jest Duma Państwowa“, w których starałem się wyłożyć w krótkości znaczenie i powstanie przedstawicielstwa narodowego, t. j. sejmów i wyboru posłów do nich.

Utwierdzają mnie w tem przekonaniu liczne listy i zapytania wielu czytelników i czytelniczek. Cieszy mnie to ich zainteresowanie się, gdyż świadczy, że nie są obojętnymi widzami tego, co się dzieje w kraju, lecz że pragną choćby w najogólniejszych zarysach zrozumieć to, o co tak usilnie stara się naród rosyjski i polski.

Dzisiaj więc pomówimy o *samorządzie* i *autonomii*.

Sądząc ze słów, składających te dwa terminy, powinnyby wyrażać jedno i to samo pojęcie, gdyż autonomia, utworzona ze starożytnego języka greckiego (*autos* = sam, *nomos* = prawo) znaczy w tłumaczeniu dosłownym mniej więcej to samo, co samorząd. Jednakże z biegiem czasu, zarówno w nauce, jak i w praktyce ustrojów państwowych znaczenie obu tych terminów rozbiegło się i oba wyrażają choć pokrewne lecz inne rzeczy, chociaż w mowie potocznej często używa się jedno zamiast drugiego, czego właściwie unikać należy.

Autonomia obejmuje daleko szerszy i odmienny zakres praw od samorządu, — po pierwsze pod względem *terytorjalnym*, to znaczy, że stosuje się nie do wszystkich miast i okręgów w danym państwie, jak samorząd, lecz do całych dzielnic lub krajów, odrębnych pod względem historycznym, narodowościowym lub kulturalnym od reszty państwa. Jakkolwiek taka autonomiczna dzielnica jest złączona z państwem, do którego należy i stanowi z niem jedną całość, podległą wspólnej centralnej władzy ogólno-państwowej, jednakże w swoim ustroju wewnętrznym rządzi się samodzielnie własnymi ustawami.

Jako przykłady takich krajów autonomicznych możemy wymienić: Wielkie Księstwo



Pamięci Mickiewicza. Z widoków Nowogródka: Fara Witoldowa; ruiny zamku Mendoga; dom ojca wieszczka.

DO DZIECI.

Drogie dzieci! Przed pięćdziesięciu laty d. 26 listopada 1855 r. umarł w Konstantynopolu, stolicy Turcyi, Adam Mickiewicz, największy poeta polski, ten którego pomnik stoi w Warszawie i w wielu innych miastach naszych. Miłość Boga, Ojczyzny i wszystkich bliźnich oto, co w pięknych swych poezjach wspaniałemi słowy ogłosił. Dla dobra Ojczyzny wyjechał tak daleko i umarł, narażając się na ciężkie trudy i śmierć.

Jedne z ostatnich słów jego do otaczających były: „Powiedz moim dzieciom, niech się zawsze kochają między sobą.“

A słowa te stosują się nietylko do rodzeństwa w jego najbliższej rodzinie, lecz do wszystkich rodaków, jako do dzieci jednej, wspólnej matki, jednej ojczyzny.

Jak cenił modlitwę i jak pragnął, ażeby zwłaszcza niewinne dzieci modliły się i za kraj i za niego, świadczy między innymi scena z poematu „Dziady“, którą tu przytaczamy:

(Dom miejski pod Lwowem)

(pokój sypialny.—Ewa, młoda panienka, wbiega, poprawia kwiaty przed obrazem Najśw. Panny, klęka i modli się. — Wchodzi Marcelina).

MARCELINA.

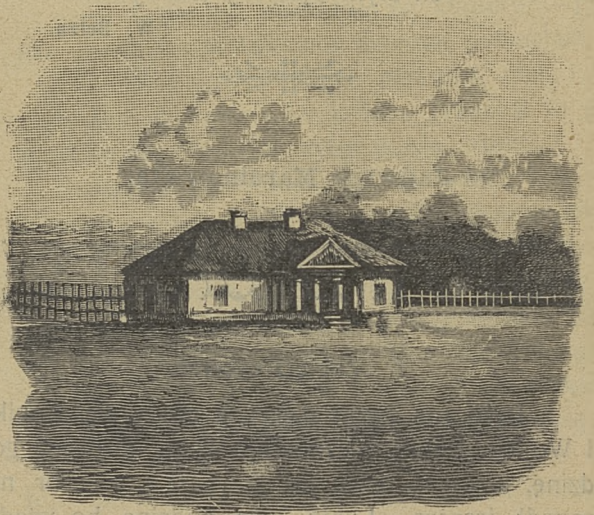
Modlisz się jeszcze dotąd! Czas spać, północ biła.

EWA.

Jużem się za ojczyznę moją pomodliła,
Jak nauczono, i za ojca, i za mamę.
Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same;
Choć oni tak daleko: ale to są dziatki
Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.
Litwin, co dziś tu przybył, uciekł gdzieś z oddali:
Strach słyszeć, co tam oni z nimi wyrabiali;
Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił,
Poszedł w pole, i dotąd z przechadzki nie wrócił.
Mama na mszę posłała i obchód żałobny,
Bo wielu z nich umarło... Ja pacierz osobny
Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił:

(pokazując książkę)

I on także w więzieniu, jak nam gość donosił.
Te piosenki czytałam: niektóre są piękne..
Jeszcze pójde, przed Matką Najświętszą uklękne,
Pomodłę się za niego: kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.



DOM W ZAOSIU,
miejsce urodzenia Adama Mickiewicza.

POLSKA MOWA.

Ukochaj dziatwo! słowo rodzinne,
Skarb twój najdroższy, wspaniały!
Tem słowem usta twoje niewinne
Pierwszy paciorek szeptały!

A co po Bogu najdroższe, dziatki!
Dla duszy tkliwej i czystej:
Słodkie imiona ojca i matki,
Wzięłyście z mowy ojczystej.

Pierwsze wrażenia, pierwsze pojęcia,
Pieśń ptaszka, kwiatki w dąbrowie,
Co zajmowały umysł dziecięcia,
W tej tłumaczono wam mowie.

Nietylko kraj ten, w którym żyjecie,
Ojczyzną waszą się zowie:
Bo jest i druga ojczyzna, dziecię,
Co w polskim mieści się słowie.

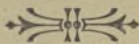
Z głębi serc polskich nurty żywemi
Rwie się, jak rzeka wspaniała:
To mowa ojców, co naszej ziemi
Nazwisko „Polski“ nadała.

A jakież czary mowa ta mieści:
Raz gromem huczy i błyska;
To znów się ozwie jękiem boleści,
Że aż łzy z oczu wyciska.

Bo w niej się chowa moc tajemnicza,
Ta czarodziejska moc wróżki:
Co raz ją zmienia w pieśń Mickiewicza,
To znowu w hasło Kościuszki.

Więc czcij to słowo, co się u świata,
Okryło zasług wawrzynem!
Bo kto niem gardzi albo pomiata,
Ten złym ojczyzny jest synem!

W. Betza.



Jadwiga Marcinowska.

OPOWIADANKA.

I. Zakłęci rycerze.

Było raz dwoje dzieci, a zwały się: Anulka i Wojtek. Lubiły niezmiernie szarą, mroczną godzinę, kiedy to dzień już przygasał a wieczór nie zapadł jeszcze. Lubiły ową godzinę, bo wtedy: skrzyp! otwierały się drzwi i na progu stawała zgarbiona, siwa sąsiadka kuma.

— Dobry wieczór, dzieci!

— Dobry wieczór, babulu.

— A ciekawście dzisiaj?

— Ojej! jak ciekawe.

— Może niebardzo? — przekomarzała się stara. A wtedy dzieci zrywały się jak ptaszęta. Ze świergotem otaczały babulę.

— Powiedz—prosiło jedno, czepiając się jej rąk. — Powiedz — mówiło drugie, wieszając się u szyi.

Babula powolusieńku rozwiązywała chusty.

— Czekajcie-no, zbytniki, zboreźniki, utrapieńcy moi! Odstąpcie! a niech-no się rozdieje! I kładła przyodziewek na ławie.

— Czekajcie—oparla kij o ścianę wreszcie: —No, teraz!—więc dzieci uradowane prowadziły ją do komina. Babula, bywało, usiadzie, odchrząknie i zdaje się namyślać.

— Prędeż — nagłą dzieci.

Stara podnosi głowę.

— A o czym? — zagadnie.

Jedno przez drugie woła:—„O zakłętej królewnie“, „O smoku latającym“, „O czarownicy na Łysej Górze“, „O zbójach dwunastu“.

Stara potrząsa głową.

— To było — powiada.

Wówczas dzieci roztwierają szeroko z namiętności oczy i nawet potrochu gapiowato usta: wiedzą, iż będzie bajka nowa. Nieprzebraną bo moc tych baśni wszelakich a cudnych umie zgarbiona babula.

Razu pewnego, w wieczór jesienny, kiedy mgła ziemię osnuwa, a niebo blade, szarzeje i wszystko w końcu staje się jednym mrokiem i smutkiem, w taki wieczór tęskliwy przyszła starszka — według zwyczaju do swych maleńkich słuchaczy.

Dzieci siedziały przytulone do siebie, osowiały jakieś, jak ptaki wyjęte z gniazda.

Przez szczeliny w ścianach wiatr pogwizdywał swoją przedziwną, żalostną, nieporównaną piosenkę.

Skrzypnęły drzwi w pomroce.

— Babula! Babula!

Zrywają się dzieciśka, jedno przez drugie spieszy.

Babula, odsapnąwszy, postępując jeszcze, usiadła.

— Otóż dzisiaj nic, nic wam nie powiem— zaczyna po chwili.

— Jakto? — zadziwiły się dzieci.

— Ano tak. Uważajcie, urwisy: była jakoby torba bajek pełna, nieprawdaż?

— Prawda — przyświadczył Wojtek.

— I czerpało się z onej torby, czerpało; codziennie inszą i inszą... Aż wreszcie hej! patrzcie, dno przebłyska.

— Przecież... może jeszcze co na dnie? — dopytuje się Anulka.

— Nie wiem i trudno mi sięgać.

— Dlaczego?

— Mróz chodzi po kościach, starość nie radość, ręce się trzęsą i śmierć zajrzała w oczy.

Dzieci wpatrzyły się w babulę.

— Wcale onego mrozu nie dostrzegam — wygłasza Wojtek.

— Ani tej waszej śmierci nie widzę — dodaje Anulka.

I nuż oboje prosić.

— Siegnijcie, babutu, do torby cudownej, raz jeszcze! jeszcze raz!

Wreszcie zgadza się stara:—A niech-no będzie! czekajcie!

Uciszyły się dzieci, stara mówi powoli:

— Siegam i macam: najdę? nie najdę? Cyt! jeszcze jedna, może ostatnia... Słuchajcie!

Słuchają, że im nieledwie oczęta z głowy nie wyskoczą. Babula mówi:

Najpierw o łańcuchu gór wyniosłych, omglonych, stojących na strażnicy. Takie to góry wysokie, okrutnie wysokie, że na nie wstępować by dzień cały, a czasem dwa dni caluśkie, zanim się dojdzie do szczytu. A spojrzeć od południa, to się widzi ich głowy ogromne i poważne, królujące na widnokręgu jakby przedziwne, okrągłe, lub poszarpane chmury.

I nazywają się góry owe imieniem: Tatry.

Ciekawie tam wszystko wokoło nich wygląda — i one same.

(d. c. n.)

J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Dokończenie).

X.

W kilka dni po tej rozmowie pan Stach wyjechał, a Jędrus rozpoczął służbę u staruszki. Spełniał wszystko starannie, cicho, z pokorą słuchał jej uwag, wieczorem czytywał pożyteczne książki, których mu pani dostarczała. O wielu, bardzo wielu rzeczy dowiedział się z nich. W książkach dużo jest mądrości, kto ciekawy niech je czyta, a nie pożałuje. Toć to lepiej, jak bąki po wsi zbijać, namawiać do figli inne dzieci, a co gorsza do grzechu. Książka może być nie tylko przyjemnością, ale i doradcą i przyjacielem. Szukajcie przyjaciela w książkach, łatwiej go znajdziecie, niż wśród ludzi. To przyjaciel mądry, dobry, prawy, nigdy nie zdradzi, zawsze dopomoże.

A rada dobra, rozum, to rzecz nie do pogardzenia, zwłaszcza na wsi, gdzie uczonych ludzi mało, a dużo wiary w zabobony, dużo głupoty. Jędrus chował książki, darowane mu przez panią, czytał je uważnie i cieszył się, że jak powróci do domu, to jeszcze raz Jagusi je przeczyta.

W chacie dziadusia będzie znów dobrze, jak dawniej, wróci dobrobyt i spokój. Jędrus, marząc o tej błogiej chwili, pracował sumiennie, a ponieważ pozostawało mu jeszcze sporo czasu wolnego, znalazł sobie jeszcze u sąsiada zajęcie, za które mu płacili. Chwila więc powrotu stawała się bliska, coraz bliższa, aż w końcu nadeszła.

Dnia pewnego pani zawołała Jędrusia, a kładąc przed nim cztery duże złote monety, rzekła:

— Patrz, Jędrusiu, oto wynik twojej pracy, masz czego pragnąć. Oto 40 rubli, każdy grosz zdobyty pracą uczciwą i sumienną. Możesz śmiało powiedzieć dziadkowi:

„Zpracowałem, ani jednym darowanym groszem nie zepsułem sobie tego spodziewanego szczęścia i radości, jakiej doznaję, nagradzając wyrządzoną krzywdę“.

— Jutro przyjedzie pan Stach, razem kupicie krowę, bo się boję, aby cię nie oszukano.

Takiego wesołego dnia Jędrus dawno nie miał — nie mógł spać z radości, a gdy istotnie na drugi dzień pan Stach przyjechał, opowiadał mu o wszystkim bez końca, i aż skakał z radości.

— Tylko wie pan, żal mi zostawić tak starszą panią samą, może znowu złodzieje się dowiedzą?

Pan Stach uściskał Jędrusia za pociwi jego serce.

— Nie bój się chłopcze, nie pozostawię

jej samotnej, po swoim powrocie ze wsi zabiorę ją z sobą do Warszawy. I ja nie miałbym chwili spokojnej, gdybym ją zostawił bez takiego, jak ty opiekuna.

W kilka dni potem wyruszyli w drogę, pan Stach, chcąc Jędrusowi wynagrodzić jego starania około staruszki, kupił dla dziadusia i siostry sporo różnych upominków. Ładną czapkę, szalik na szyję, spódnicę i chustkę dla Jagusi.

— A dla tej malutkiej co kupimy? — pyta pan Stach, — cóż takiemu dziecku potrzeba?

— Nic proszę pana, przecież ona i tak najwięcej dostanie, bo krowę, przecież to głównie o nią chodziło, żeby miała mleko.

Jędrus miał słuszność, że jednak kupienie Krasuli, miało być tylko zadosyćczynieniem za przestępstwo, a nie przyjemnością dla dziecka, więc wybrano w sklepie śmieszna zabawkę, pajaca papierowego, który za pociągnięciem sznurka wyprawiał różne kozły. Pan Stach i Jędrus uśmieli się, gdy sprzedający kazał pajacowi skakać.

Jędrus z przepełnionem wdzięcznością sercem dla Boga i dobrych ludzi wracał do swoich, ze sporym węzełkiem książek i podarunków, a całą drogę myślał czy tylko na jarmarku w miasteczku będzie dużo bydła i czy wybiorą coś dobrego.

Stanęli właśnie w chwili, gdy jarmark był w całej pełni, a że przedówek zapowiadał się ciężki, i zapasy zimowe niektórzy już spotrzebowali, a nowych jeszcze nie było, więc spędzono dużo bydła na sprzedaż, było w czym wybierać. Jędrus biegał, oglądał, targował, a gdy jaka krowa spodobała się mu, prowadził przed pana Stacha, który oczekiwał na kupno i sam miał wręczyć pieniądze.

— Ta zdaje się ładna i młoda, — mówi, a oczy mu się śmieją, — gospodarz mówi, że mleczna. Oglądają długo, wreszcie wszyscy uznają, że warta 40 rubli. Dobijają targu, Jędrus staje się właścicielem ładnej Krasuli.

— Teraz dasz już sobie sam radę Jędrusiu, — mówi pan Stach, — do Rudnik kilka wiorst zaledwie, szło mi głównie o to, aby cię na kupnie krowy nie oszukali, teraz ja wracam do ciotki, ty spiesz do dziadka.

Pożegnanie było czułe, nie obeszło się bez łez, Jędrus całował ręce pana Stacha i obejmował go za nogi, a gdy ten wsiadł na oczekującą bryczkę, by coby prędzej dostać się do miasta, Jędrus póty stał na drodze, póki mu bryczka nie zniknęła z oczu.

— No, a teraz w drogę do chaty.

Wziął sznur w rękę i skręcił na dobre mu znany trakt do Rudnik.

Wiosna już była w całej pełni. Oracze w polu przewracali ziemię czarną i wrzucali w nią złociste ziarna jęczmienia i owsa. Sko-

wronki śpiewały podnosząc się w górę wysoko, a od lasów, co czarnym, długim sznurem oddzielały wieś rodzinną od reszty świata, szedł zapach młodych, sosnowych pędów.

Radowała się chłopcu dusza; miał w sercu tyle miłości dla Boga, tyle wdzięczności za odebrane łaski i doznaną opieką, za sumienie znów takie czyste, lekkie, swobodne jak dawniej, kiedy jeszcze nie poniżył się tym wstrętnym czynem.

Spojrzał w niebo, było czyste, błękitne, bez żadnej chmurki, uśmiechnął się radośnie i zaśpiewał:

«Mojaś ty moja, po Bogu
Dolo a trosko!
Rozsiana w polnym rozłogu
Mojaś ty, moja serdeczna
Mojaś ty wiosko!»

Dzieci, pasące na łąkach bydło, odpowiadały drugą zwrotką, a Jędrus zdjął czapkę i krzyknął.

— Witajcie, witajcie!

Wszyscy zbiegli się do niego, witali, pytali skąd wraca, czyja to krowa. Chłopiec z dumą odpowiedział, że to jego, jego własna. Kupiona za zapracowane pieniądze, i pobiegł dalej.

Przed chatą pochylony siedział dziadus, i odmawiał różaniec.

Jędrus padł mu do nóg.

Staruszek oczom własnym nie wierzył, osłupiał na widok wnuka.

— Jędrusiu, toś ty, ty naprawdę?

— A tak dziadusiu kochany, ale nie ten co odszedł z chaty, obciążony grzechem, wracam inny, lepszy, rozumniejszy. Odpokutowałem, Bóg dobry wybaczył winę i wy wybaczenie!

Dziadek wyciągnął błogosławiącą dłoń nad głową chłopca i rzekł:

— Chodź, niech cię przycisnę do serca, jesteś mi znów miły, znów kochany!

* * *

Dużo było radości w chacie starego Tomasza i z powrotu Jędrusia i z kupna pięknej krowy. Chłopiec musiał długo i dokładnie opowiadać wszystkie zdarzenia, a dziadek i Jagusia dziwili się niemało.

W kilka dni poszedł z dziadkiem do dworu, gdzie go przyjęto do posługi i obiecano naukę.

Dziś wszyscy są szczęśliwi, wszystkim jest dobrze.

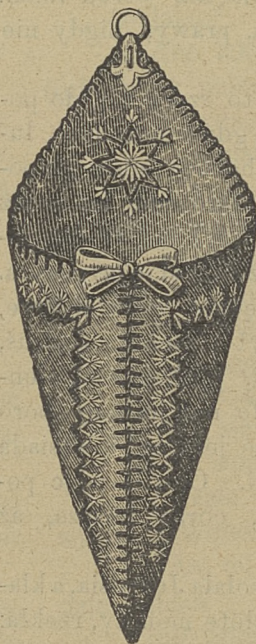
Jędrus bierze pensję, oddaje ją dziadkowi, który sterany pracą i latami odpoczywa już i dziękuje Bogu, że ukochany wnuk jego, choć zboczył raz z drogi uczciwości i cnoty, znów na nią powrócił i wyrosnie na porządnego i prawego człowieka.

Woreczek na ściereczki.

Podajemy dzisiaj naszym pilnym czytelnikom wzór woreczka na ściereczki do kurtki, ozdobionego haftem.

Jest to robótka niezmiernie łatwa, a starannie wykonana posłużyć może jako praktyczny podarek imiennowy lub gwiazdkowy.

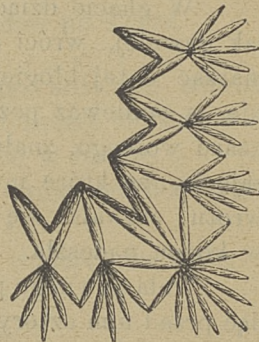
Woreczek taki zrobić można z tektury, naśladowanej skórę lub w braku jej można zwycajną tekturę pokryć z obu stron niewarowem t. j. szarem płótnem, ozdobiwszy go poprzednio haftem podług załączonych wzorków. Jeśli mamy pod ręką tekturę naśladowującą skórę, wykrawamy z niej dwa kwadraty po 22 centymetry długie i szerokie, ozdabiamy szlaczkiem w około jak wskazuje podana rycina, następnie



Woreczek.



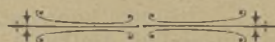
Gwiazdka.



Szlaczek.

spajamy obie połowy włóczką ścięciem dzierganym, później wyginamy ów kwadrat w tubkę i znowu spajamy ją razem włóczką, początek spojenia ozdabiamy kokardką, do górnego końca przyszywamy metalowe kółko do zawieszania na ścianie.

Do wykonania haftu wziąć można włóczkę zwaną „mooswolle“, kolory dobrać dowolnie lub też użyć następujące: środek gwiazdy może być wykonany jasno-żółtym kolorem, środkowe promienie brązowym, zakończenie promieni niebieskim. Też same kolory użyć należy do szlaku w około woreczka.





Ilustracya do ballady A. Mickiewicza „Powrót taty”.

rys. Konstanty Górski,

Finlandzkie, Stany Australijskie i Kanadę w stosunku do Wielkiej Brytanii, wreszcie w pewnej mierze Galicyę i Czechy w Austrii.

Oprócz różnicy pod względem terytoryalnym między autonomią i samorządem istnieje także jakościowa i ilościowa różnica co do samych praw, jakie obejmują. Autonomia dotyczy praw ogólnego znaczenia dla wszystkich obywateli danej dzielnicy autonomicznej, t. j. praw politycznych, a więc oznacza posiadanie miejscowego rządu krajowego z sejmem lub bez sejmu, z przedstawicielem władzy centralnej na czele, zwanym najczęściej Namiestnikiem, — następnie posiadanie możliwości zarządzania sprawami finansowemi, czyli piętężnemi na potrzeby całej dzielnicy, — urzędami, t. j. sądami i administracją, — kolejami żelaznemi, szkolnictwem, stanowieniem praw cywilnych, a w niektórych państwach nawet z własnym prawodawstwem kryminalnem, osobnemi cłami (cło = podatek od towarów zagranicznych) i wojskiem.

Zakres praw autonomicznych dla różnych dzielnic i kolonii w rozmaitych państwach nie jest bynajmniej jednakowy, a zależy od przebiegu wypadków historycznych i od ustroju rządu w samem państwie. I tak np. stany Australijskie (kolonie Wielkiej Brytanii) lub Finlandya posiadają daleko szerszą autonomię niż kolonie angielskie w południowej Afryce lub Galicya, której prawa pod tym względem są nader ograniczone.

Samorząd obejmuje zakres daleko skromniejszy, nie dotyczy bowiem żadnych ogólnych praw politycznych obywateli danego państwa lub kraju.

Samorząd oznacza prawo zarządzania przez mieszkańców miast i okręgów ziemskich a nie przez urzędników z ramienia władzy — własnemi miejscowemi sprawami gospodarskiemi danego miasta i okręgu.

Stąd najprzód rozróżnić należy samorząd *miejski i wiejski* (lub ziemski). Jednostkę samorządu miejskiego stanowi miasto, a wiejskiego — pewien okręg, zwykle część powiatu, zwana gminą, mieszcząca w sobie kilka lub kilkanaście wsi, majątków i osad.

Każdy, co mieszka w mieście, pojmuje doskonale, że dla wygody, dobrobytu i bezpieczeństwa mieszkańców potrzebne są: czysto utrzymane i oświetlone nocą ulice, dobre bruki i chodniki, zdrowa woda, kanalizacja i t. p. Nadto potrzebne są także szpitale dla mniej zamożnych chorych, szkoły początkowe dla dziatwy, schronienia dla ubogich, ogrody spacerowe, teatr, wreszcie policya, t. j. stróże porządku publicznego.

To samo jest i na wsi, i tam potrzebne są dobre drogi, łączące miejscowości w obrębie gminy, szpital, szkoły początkowe, straż ziemska i t. d.

W niektórych krajach kościoły i cmentarze zostają w zawiadywaniu nie państwa lecz właściwych gmin miejskich i wiejskich.

Na to wszystko potrzeba pieniędzy, które wypłacają mieszkańcy danego miasta lub wsi, niezależnie od podatków skarbowych, obciążających wszystkich obywateli na potrzeby ogólne całego państwa lub dzielnicy autonomicznej.

Otóż samorząd polega na tem, że zaspakajaniem wyżej wymienionych potrzeb miejscowych, zawiadywaniem tego rodzaju sprawami i piętężnemi, na te cele ściąganiem — zajmują się nie urzędnicy, mianowani przez rząd i według jego poleceń, lecz sami mieszkańcy miasta lub gminy, za pośrednictwem swoich przedstawicieli, gdyż naturalnie oni sami daleko lepiej znają i oceniają własne potrzeby miejscowe i mogą wybrać najwłaściwszych ludzi.

Zakres praw samorządnych w miastach i gminach, granice gmin, wybór przedstawicieli do zarządów i stosunek ich do rządu określają w drodze prawodawczej władze państwowe lub autonomiczne i dla tego są różne w różnych krajach. Najczęściej bywa tak, iż mieszkańcy opłacający jakąś najmniejszą kwotę podatkową, wybierają na kilka lat pewną liczbę *radnych*, a ci ze swego grona wybierają *zarząd* miejski i gminny z prezydentem, burmistrzem lub wójtem na czele. W samorządzie wiejskim nadto zarządy gminne kilkunastu gmin z całego powiatu lub całej gubernii — wybierają jeszcze wspólny zarząd powiatowy, albo gubernialny, który zawiaduje sprawami gospodarczemi całego powiatu lub gubernii, np. ważniejszymi drogami, większymi szpitalami, specjalnemi szkołami i t. p. urządzeniami, którym pojedyncza gmina podołać nie może i nie potrzebuje wyłącznie dla siebie, lecz wspólnie z sąsiedniami.

Z powyższego zestawienia widzimy, że dana dzielnica może nie posiadać wcale autonomii, a mieć samorząd miejski i wiejski — i odwrotnie.

Tak było w XIX wieku w Królestwie Polskiem, które od 1815 do 1830 r. posiadało szeroką autonomię konstytucyjną z sejmem własnym, a od r. 1831 do 1866 autonomię administracyjną, lecz nie miała samorządu w miastach i gminach. Samorząd miejski nie został wprowadzony dotąd, a samorząd gminny, istniejący od 1864 r., jest bardzo ograniczony.

W Cesarstwie wprowadzono samorząd wiejski (ziemstwa) w 1864 r., lecz z wyłączeniem dziewięciu gubernii, sąsiadujących z Królestwem, samorząd miejski istnieje we wszystkich miastach od r. 1870.

Obecnie we właściwych sferach toczą się narady nad zaprowadzeniem w Królestwie samorządu miejskiego i ziemskiego; — podobno także w zamierzeniach przyszłej Dumy Państwowej leży przyznanie Królestwu Polskiemu autonomii, która jest ogólnie żądana, jako niezbędna dla należytego rozwoju życia narodowego i społecznego. Mam nadzieję, że czytelnicy „Wieczorów“ po przeczytaniu tego wyjaśnienia, będą rozumieli, na czem polegają oba urządzenia prawne.

Na odbyłym w Moskwie w listopadzie r. b. zjeździe przedstawicieli ziemstw i miast z całego państwa — ogromna większość, bo 166 przeciw 12-tu, z najwybitniejszymi działaczami, jak: Rodiczew, Petruniewicz, ks. Dołgorukow, De Roberti, gen. Kuzmin-Karawajew i in. na czele, uchwaliła, jako program przyszłej Dumy — przyznanie autonomii dla Królestwa Polskiego.



Przyjaźń.

Powieść przez J. M.



(ciąg dalszy.)

Z zajęciem wysłuchiwał opowiadań o jego życiu, tak różnem od tego, które on sam prowadził. Michaś był ubogim sierotą; miał surowego opiekuna, który chciał go kiedyś oddać do terminu, bo mówił, że utrzymanie w szkołach dużo kosztuje, a przy słabych zdolnościach nawet się „nie opłaca“. Ale Michaś wyprosił się od rzemiosła. Był synem profesora i tak pragnął się uczyć, aby zostać profesorem tak samo jak tatuś! Obiecał, że przejdzie gimnazjum o chlebie i wodzie. Został umieszczony na stancyi dla najbiedniejszych uczniów, gdzie rzeczywistość chłód i głód dawały mu się nieraz we znaki. Ale co tam! byle się przepchać do uniwersytetu, tam już o lekcye łatwiej i stypendyum jest jakieś, dla rodziny Kruckich, o które Michaś będzie mógł się ubiegać.

Długie godziny przechodziły chłopcom na gawędach — a potem Bolek widział jak do późno w nocy świeciło się w okienku na facyatce, którą wraz z innymi współtowarzyszami zajmował Michaś. Chłopczyna nocuą porą odrabiał zadania i lekcye, zaniedbane przez dzień wskutek przesiadywania u chorego kolegi. Odrabiał je przy świetle łożówki, kupionej za własne pieniądze, zamiast bułki na śniadanie, bo nafty nie wolno było chłopcom wypalać po godzinie dziesiątej. Bolek wiedział to wszystko doskonale, ale nie przyszło mu nigdy na myśl poczuwać się do jakiejś wdzięczności względem Michasia za te długie odwiedziny.

— Widać, że mu miło u mnie, kiedy tak siedzi — myślał prawie bezwiednie, i rzeczywistość nie mylił się — Michasiowi było miło u kolegi, do którego przywiązał się szczerem, głębokiem uczuciem.

Z miesiąca na miesiąc węzeł tej przyjaźni zacieśniał się, aż pewnego dnia wybuchła w klasie awantura: ktoś ułożył na Bolka dowcipny ale uszczypliwy wierszyk, zaczynający się od słów:

Ani zimny, ni gorący,
Tylko zawsze *celujący*.
Dumnie na świat patrzy z góry,
Bo nie fiołkiem jest z natury...

Wierszyk zaczął kursować po klasie; niektórzy głośno ganili jego uszczypliwość, wszyscy prawie po cichu śmieli się z dowcipów dość trafnych, bo rzeczywistość Bolek grzeszył nieco zarozumiałością.

Jeden tylko Michaś oburzył się gwałtownie na autora epigramu i zerwał z nim prawie zupełnie, pomimo dotychczasowych, jaknajlepszych stosunków, które Michasiowi, były nawet bardzo przydatne, bo ów wierszopis — niezły zresztą i wcale uczynny chłopiec — pożyczał mu nieraz swych książek i dopomagał nawet czasem w wyuczeniu się trudniejszych lekcji.

Bolek uznał postępek Michasia za najzupełniej słuszny i naturalny: nie mógł przecież Michaś zachowywać przyjaznych stosunków z kimś, co jego tak dokuczliwie zaczepił.

Czas mijał, malcy wyrastali na młodzieniaszków; przybywało im rozumu w głowie i pasków na kołnierzu mundurka; od roku siadywali już obok siebie na jednej ławce szkolnej, byli uznanymi głośno i patentowanymi przez całą klasę „przyjaciółmi“, aż nagle dziś, ta niemądra Ludka ośmieliła się rzucić bratu w oczy: *on może jest twoim przyjacielem — ale ty jego — wcale nie!*

Powiedzenie to dotknęło i w pierwszej chwili wzburzyło mocno Bolka, jednak mimowoli począł się zastanawiać nad jego treścią i ogarnęły go pewne wątpliwości... A gdyby?... Eh, przecież słów Ludki nie można brać na serio pod uwagę — co tam taka pensyonarka może wiedzieć o prawdziwej, męskiej przyjaźni!... a jednak...

Wraz z temi wątpliwościami bardzo, bardzo niemiłe uczucie ogarnęło Bolka — rozumiał doskonale, że zawsze szlachetniejsza rola przypada temu, która daje, niż temu, który tylko przyjmuje — on nie chciał wcale odgrywać roli mniej szlachetnej — a przecież tak się jakoś złożyło, że dotąd wszystkie drobne ustępstwa, przysługi, wszystkie „zadatki“ tej przyjaźni były po stronie Michasia. On na swoją szalę nic jeszcze dotąd nie rzucił.

Eh, wszystko jedno! ja go i tak kocham i jak się nadarzy sposobność potrafię mu dać tego dowód — uspokoił się wreszcie. — Nie jestem drobnostkowy, więc na takie bagatele w codziennem życiu nie zważam — ale jak przyjdzie coś ważniejszego, pokażę co mam w sercu.

Zupełnie już z siebie zadowolony a nawet dumny z tych swoich przyszyłych bohaterских czynów, żwawym krokiem ruszył dalej, aby się lepiej ochłodzić, bo w parku duszno dziś było i parno.

Po drodze, w ustronnej altance, zobaczył Michasia „kującego“ coś z takim zapalem, że nawet nie posłyszał kroku i wołania zbliżającego się doń kolegi.

— Michaś! pst. Michatek! czyś ty już całkiem ogłuchł na stare lata? Bój się Boga odektaj sobie uszy, bo chcę ci coś powiedzieć.

— Czego chcesz? — zapytał nagle Michaś, zrywając się z ławki, z miną, jakby go nagle ze snu zbudzono — choć w rzeczywistości nie spał wcale, tylko kreślił mozolnie jakieś cyfry w podręcznym notatniku.

— Chcę, żebyś poszedł ze mną na spacer, już ci oczy pozapuchały od tego pisania.

— Nie mogę — słowo ci daję — ta jutrzejsza geometrya jakoś mi ani rusz do głowy wleźć nie chce!

— Głupstwo! boś zanadto zmęczony ---, takie ślęczenie na nic się nie zdało. Przejdź się, potem się wyśpij a zobaczysz jak ci się jutro rano w głowie rozjaśni. Wierz mi, to najlepszy sposób.

Na twarzy Michasia odbiło się wahanie; widocznem było, że miał ogromną ochotę zastosować się do rady Bolka, choć nie bardzo jeszcze dowierzał jej praktyczności.

A Bolek nalegał, myśląc w duszy: Biedne Michasisko, taki zawsze pocziwy! tak mnie kocha! przecież wart, żebym mu okazał, jak dbam o jego towarzystwo — no, i prawda, że spacer z nim będzie przyjemniejszy — o wiele przyjemniejszy!

— Kiedy bo widzisz... bronił się coraz słabiej Michaś, oprócz geometrii chciałem jeszcze powtórzyć grekę — dawno nie byłem pytany.

— Włóż książkę pod poduszkę, a lekcyja ci sama do głowy wlezie — ja tak zawsze robię! czyś ty mnie widział kiedy ślęczącego nad książką poza szkołą? a przecież stopnie mam Bogu dzięki niezgorsze.

-- No, ty!.. westchnął Michaś, a mina jego i ton wypowiedziały najwyraźniej: Taki geniusz jak ty, to nie dziwne!

— Po raz pierwszy, drugi i trzeci: idziesz czy nie?

— Idę — odrzucił z nagłem postanowieniem Michaś, zamykając energicznie książkę, która mu się już dobrze dała we znaki. Z geometryą źle sobie jakoś dawał radę od samego początku — w ciągu roku szkolnego brał nieraz z niej dwójki — przed wakacyami wyrwany kilkakrotnie przez profesora, który go bardzo lubił, poprawiał sobie coś niecoś, i tak brnął z wielką biedą z klasy do klasy. — Zarzekał się, że na uniwersytecie obierze sobie wyłącznie języki i historję — do wszystkiego, co miało jaki związek z matematyką, czuł wstręt prawdziwy.

Spacer udał się chłopcom wybornie; nagadali się o wielkich planach dalekiej przyszłości i dopiero o zmroku wrócili do domu.

Naprzeciw Bolka wybiegła Ludka, zarumieniona i przejęta ważnymi nowinami, które chciała co śpieszniej zwiastować bratu.

— Tak długo cię nie było, a my tu mieliśmy gościa: stryjcio przyjechał i, wyobraź sobie, chce cię wziąć do siebie na wakacje.

— Wiwat! — wykrzyknął Bolek, wyrzucając czapkę w górę — to się najeżdżę konno i najem porzeczek za wszystkie czasy!

— Jakiś ty szczęśliwy! czemu się ten stryjcio nie ożeni, to i jabył mogła do niego pojechać, miałabym towarzystwo stryjeńci.

— Pewnie! dla takiej racyi warto, żeby się stryj żenił! — roześmiał się Bolek. — Ja, przyznam ci się, moja kochana, wcale tego nie pragnę. Co mi tam po stryjence? na kawalerskiem gospodarstwie najweselej i najswobodniej. Będziemy sobie codzień chodzili na polowanie, co niedzielę wózkim węgierskim pojedziemy do kościoła, ja będę powoził — i nikt mi nie będzie krzyczał nad uchem, że wywrócę — a z kobietami to zawsze ceremonie i ambaras! to też nie pragnę żadnych zmian.

— Tak! — bo myślisz tylko o swojej własnej przyjemności — ty się będziesz bawił, a ja tymczasem muszę przesiedzieć w mieście całe lato — i jeszcze Stachy nie będzie!

— To i cóż? — ja także będę bez Michasia — kilka tygodni można wytrzymać — odrzucił filozoficznie Bolek.

Nazajutrz stryjcio był zaproszony na obiad. Przy czarnej kawie odezwał się wesoło do bratanków:

— Przechodziłem dziś przypadkiem koło teatru, i jakoś sam nie wiem czemu, kupiłem lożę. A skoro kupiłem, to już muszę iść na przedstawienie i kto łaskaw proszę ze mną.

Ludka i Bolek poczerwienieli na te słowa, a stryj patrząc na nich z uśmiechem, ciągnął dalej:

— No cóż, panie Bolesławie, panno Ludmiło, czy mam się do was zwracać z imiennymi zaproszeniami? A może nie jesteście ciekawi tego „Dyktatora“? Ale to podobno wcale zajmujące.

— Ależ stryjciu, okropnie jesteśmy ciekawi! wykrzyknął Bolek. To przecież śliczna sztuka i całą zimę marzyłem, żeby na nią pójść. Najserdeczniej stryjciowi dziękuję!

— Brawo! więc od ciebie nie dostałem odmowy — a od Ludki?..

Ludka cała w pasach zaczęła mówić niepewnym głosem:

— Ja także bardzo, bardzo dziękuję stryjciowi i miałabym ogromną ochotę pójść — ale...

— Ale cóż?

— Ale moja koleżanka, Stacha Górka, obiecała mi się na wieczór — ostatni wieczór, jaki możemy spędzić razem, bo oni wyjeżdżają całkiem ze Lwowa — i może się już nigdy w życiu nie zobaczymy... (c. d. n.)

Ze szkół i uczelni.

Pierwsza lekcya.

Po latach czterdziestu (pisze „Kuryer Litewski”) ucisku, po latach czterdziestu najsurowszego prześladowania mowy polskiej w szkołach na Litwie—wczoraj, dnia 11 (24) listopada, odbyła się w Wilnie pierwsza oficjalna, legalna lekcya języka polskiego.

Pierwsza lekcya!

Dzień wczorajszy jest, wobec tego faktu dla nas wszystkich, gorąco swą mowę kochających Polaków—dniem historycznym.

Nie pomogło nic czterdziestoletnie pozabawienie młodzieży naszej możności uczenia się legalnie i otwarcie mowy swych ojców. Dwa pokolenia przeszły na Litwie wśród oparów nienawiści ku słowu polskiemu. Dwa pokolenia przeszły i zmęźniały, z wyrzutem w duszy za antypedagogiczne języka macierzystego odrzucenia.

I oto przyszedł dzień światła,—dzień swietania lepszej, szlachetniejszej, pomysłniejszej przyszłości, i dzień sprawiedliwości.

Wczoraj, o godz. 8-ej i pół rano, w wileńskim gimnazyum prywatnem z prawami rządowemi p. Mikołaja Winogradowa, do klasy drugiej, wszedł pierwszy od lat 40-tu nauczyciel języka polskiego, p. Zygmunt Karpowicz

Wzruszony był profesor, wzruszeni byli uczniowie. Rozumiano bowiem ze stron obu, że pierwsza lekcya języka polskiego — to nie drobny wypadek, lecz pierwszorzędnej doniosłości dla całego społeczeństwa zdarzenie.

Należy się uznanie właścicielowi gimnazyum, p. Winogradowi, że on pierwszy w szkole publicznej utworzył katedrę języka polskiego, i otworzył ją kosztem własnym, bez żadnej ze strony rodziców dopłaty.

Pierwszy w Wilnie profesor języka polskiego, p. Zygmunt Karpowicz, jest wychowawcem wydziału filologicznego na uniwersytecie Jagiellońskim.

Krótkimi tylko słowy czcimy tę pierwszą po latach czterdziestu lekcję języka polskiego w Wilnie.

Lecz na zawsze pamiętną pozostanie sercom naszym ta pierwsza lekcya, ten pierwszy głos polski, mający siał miłość i zgodę wśród polskich dzieci na Litwie.

J. Ursyn.

List do Redakcyi.

Kriuków nad Dnieprem gub. Połtaw.
12 listopada 1905.

Uprasza się Szanowną Redakcyę o zamieszczenie w „Wieczorach Rodziny” tych kilku niżej załączonych słów:

Przeczytawszy z córką moją, dla której prenumeruję „Wieczory Rodzinne”, w dodatku październikowym „Odczyty” wygłoszone przez szanowną panią Zofją Bukowiecką w sali Muzeum, uważam sobie za święty obowiązek wyrazić jej niniejszem najgłębsze uznanie i szczerą podziękę za złote słowa, piękne myśli, rady i wskazówki, udzielone córkom naszym. My, mimowolnie wygnańcy, mieszkańcy Rosyi, podwójnie cenimy ten głos z dalekiej Ojczyzny—tu—gdzie wychowując dzieci, walczyć trzeba całe życie o zachowanie w ich sercach poczucia narodowego, przywiązania do Ojczyzny, tradycyi, języka!

Dopóki naszej młodzieży przewodniczyć będą takie kobiety, jak szanowna autorka Odczytów i przemawiać do serc naszych córek—dopóty nie zaginie, a jeśli zbladł—nowem zajaśnieje światłem ideał kobiety—Polki, jaki nam przekazała święta nasza przeszłość!

Z wysokim szacunkiem

W. Bartnicka.



Sarkofag Mickiewicza na Wawelu w Krakowie.

Kalendarzyk historyczny.

28 listopada 1806. Wejście Francuzów do Warszawy po zwycięstwie Prusaków.

29 listopada 1830. Wybuch w Warszawie powstania zwanego „listopadowem“.

ZE ŚWIATA.

Popis gimnastyczny w Watykanie. Watykan w październiku był świadkiem niezwykłego widowiska. Oto z całych Włoch zjechały do Rzymu wszystkie katolickie towarzystwa gimnastyczne. Punkt zborny wyznaczono w kościele św. Ignacego, skąd marszem ceremonialnym przeszli uczestnicy zjazdu przez miasto na podwórze zwanem Damaszek w Watykanie, gdzie odbyły się ćwiczenia popisowe w obecności Piusa, X, który windą elektryczną zjechał do bramy i stąd pieszo udał się do tronu, ustawionego na podwórzu.

Ćwiczenia zaczęły się od pochodu, który wypadł nadzwyczaj malowniczo, towarzystwa bowiem włoskie odznaczają się wielką różnorodnością kostiumów, od średniowiecznych pańskich aż do nowoczesnych sportowych i atletycznych.

W ćwiczeniach wzięło udział przeszło 1500 osób, między innymi popisowali się również cykliści sztuczną jazdą na rowerach.

Na zakończenie dowódcy oddzielnych stowarzyszeń gimnastycznych podchodzili ze swemi chorągwiemi do tronu papieskiego i otrzymywali z rąk Piusa X-go pamiątkowe odznaki.

Poczem Papież odszedł do swoich apartamentów, a gimnastycy marszem wrócili do miasta.

Pisma włoskie opisując to widowisko zaznaczają, że czegoś podobnego dotychczas w Watykanie nie widziano.



Skrzynka do listów.

Pełna dziś skrzynka listów miłych i ciekawych, ale jakże dawne noszą daty! Niecierpliwiły się pisklęta moje ukochane, bo kiedyż z większym upragnieniem oczekiwał każdy wiadomości z Warszawy niż w te dni zmienne. Świata lepszej przyszłości nadzieja, i znów za chwilę wracają dawne obawy. Nadziei, nawet pewności, sprawiedliwszego jutra nie odbierze nam nikt, ale smutno Jaskółce, że nie może tymczasem swiergotać do was na tę radosną nutę, którą rozbrzmiewało miasto, kiedy zaświtała zapowiedź lepszych dni, że nie może każdemu z was odpowiadać natychmiast na listy. Taka jest jednak potęga świtów i nadziei, że rodzą w duszach ludzkich chęć zastąpienia na szczęście, że z przepełnionych wdzięcznością serc wydobywają skarby miłości.

Nadzieja lepszych praw dla Polski zdziałała już dzieło najbardziej chrześcijańskie i najbardziej w duchu narodu pojęte. Starą Piastową tradycją jest dzielić się chlebem z potrzebującymi, to też gdy dziesiątki tysięcy głodnych łakną dziś chleba w Warszawie, dziesiątki tysięcy chętnych wyciągnęło do nich bratnie ręce z natychmiastową pomocą.

Kto może i jak może służy ochotnie, zamożny

oddaje pieniądze, odzież, ubogi dzieli się obiadem, wiecie pewnie, że z całego Mazowsza ciągną fury chłopskie z kapustą i kartoflami dla potrzebujących, że dzieci ze szkółek oddają swoje śniadania i grosze, że nawet więźniowie połowę wydzielonego sobie chleba przeznaczili dla głodnych. Są więc zapasy, i mam nadzieję nie braknie ich prędko, ale te zapasy trzeba roznieść po kracich Warszawy, trzeba wyszukać tych, którzy wstydzą się prosić o pomoc, trzeba nietylko nakarmić, trzeba pocieszyć tłumy pracowników bez pracy.

I znów na pierwsze wezwanie komitetów zbierających ofiary dla głodnych pospieszyło tysiące chętnych serc, żeby oddać czas swój i siły na usługę braciom. Stworzyło w jednej chwili armię ratunkową i dziś na wszystkich punktach Warszawy wre prawdziwie obywatelska praca i strojne, wykwitne dziewczęta mierzą kartofle, krają słońinę, ważą węgiel, a czynią to z zapałem i radością, bo czują, że chleb, który rozdają to zadatek miłości wszystkich klas, że węzeł zadziernięty między zamożniejszym, a potrzebującym pracownikiem nie powinien rozluźnić się już nigdy, że utrwalić go należy dalszą bratnią pomocą.

I mądre, a czujne na potrzeby narodu serca, zrozumiały tę potrzebę, stworzyły więc nowe dzieło samopomocy społeczeństwa. Zrozumiano, że nie dość jest nakarmić głodnych, trzeba jeszcze nieumiejętnych pouczać o prawach, jakie im dziś przysługiwać będą, trzeba aby te prawa umieli sobie sami przeczytać.

A tylu między nami analfabetów!

I znów więc po przez ulice strojnej dawniej, dziś zaś czynem żyjącej Warszawy, przeleciało hasło nauczania, nietylko w szkole, ale w każdym domu, nietylko z ochoty jednostek ale z obowiązku wszystkich. I oto ja, która nieustannie wołałam do was pisklęta: uczył uczył uczył jak prawdziwy ptak, co jednym tylko dźwiękiem krakać umie, ja stara doczekałam tej radosnej chwili, że uczył uczył uczył woła dziś cała Warszawa, cały kraj.

Czy to hasło bratniej, w miłości poczętej szkoły, doszło już do waszych uszu? Czy dopiero ja będę dla was zwiastunem dobrej wieści? Mam prawo sądzić, że «Dzieci Wieczorów» nie dadzą się wyprzedzić nikomu w gorliwości, że rozumieją całą doniosłość zespolenia się miłością i pracą wszystkich z wszystkimi, że o ile o jest w ich mocy dołożą swoje ziarno do ogólnego posiewu.

Wam **Dadzibożki** kochane rzucam pierwszym to hasło, wiem, że macie mało czasu, ale wiem i to, że mnie zrozumiecie, a jedno polskie dziecko nauczone czytać i pisać to dorzucona jedna cegiełka do gmachu lepszej przyszłości.

Tobie **Muszko z nad Rosi** nie potrzebuję dodawać ochoty do nauczania, bo ty oddawna pracujesz w tym kierunku. Krótko dziś odpowiadam na listy wasze, gdyż jest ich bardzo wiele, jedną tylko zanoszę do ciebie prośbę, donieś jak się ma Żabka, czy zapalenie płuc nie zostawiło złych po sobie śladów.

«Oczekuję wiadomości jak tylko «Wieczory» wyjdą,» pisze **Złota Rybko**, a ja tę rybkę—sierotkę tulę skrzydełkami, tak tulę aż poczuje, że serce starego ptaka bije macierzyńskim przywiązaniem dla wszystkich polskich dzieci, wam zaś, które tęsknicie do rodzonych matek, wyłącznie pragnę zawsze być tklwym, dobrym przyjacielem. Arytmogryf oddałam redakcyi.

Pytasz **Brzozo Płacząca** co słyhać w Warszawie? Odpowiedź znajdziesz we wstępie do dzisiejszej skrzynki. Tu dodam słowami biskupa Krasickiego, że «święta miłość kochanej ojczyzny, znają tylko umysły pocziwe» więc słuźmy tej ojczyźnie cnotą, pracą wytrwałą nie dręcząc się stronniczemi waśniami. Zwłaszcza

wy młode pisklęta moje, powinnyście przedewszystkiem współczuć każdemu bólowi, wszystkie starać się koić, politykę zosławiając starszym.

Wieśniaczce litewskiej dziękuję z całego serca za przyslaną fotografię i obiecuję często spoglądać w okna, z których pewnie nieraz wygląda kochana korespondentka. Radę co do pism dać mi trudno, nie znając gustów Wieśniaczki sądzę, że Magasin d'éducation et de récréation byłby najodpowiedniejszy.

Kochanej **Primuli, Wiehrowi i Bracisz-kowi Primuli** odpisuję razem na ich miłe liściki, a mam nadzieję, że za bytności waszej w Warszawie sama wam odpowiem na wszystkie pytania. Teraz całej kochanej trójce ślę tysiąc ukłonów skrzydełkami i tysiąc uściśnień dziobkiem.

Nie wiem **Wiewiórko z Winnicy**, czy redakcja wydrukuje twoje poezye, gdyż «Wieczory» przeważnie oryginalne polskie dają wiersze, zwłaszcza teraz gdy spragnieni jesteśmy swobodnego głoszenia naszych uczuć. O ile jednak znam się na tem, masz duży talent i byleś dołożyła do niego sumienną pracę, grono «Wieczorów» szczyścić się będzie poetką.

«Uczę czytać służącego i cieszę się, bo będzie przynajmniej mniej o jednego ciemnego człowieka na świecie» pisze **Dzika Koza**, a ja za to mądre słowo i mądrą radość tulę ją do serca.

Leśna Wróżka znalazła już w «Wieczorach» odpowiedź na swoje pytanie. Napisz Wróżko obszerniej i donieś, o czem szumią lasy, wśród których mieszkasz.

Kochana **Młoda Sarna** pisze, że bardzo podobają się jej «Wieczory». Zgodne mamy gusta Sarenko, redakcja pragnie zawsze dogodzić swoim prenumeratorom, ucieszą więc i ją twoje życzliwe słowa.

I Biała Gołąbka nawiązuje nową znajomość wyrazami uznania dla naszego kochanego pisma. Śliczny pseudonim wybrałaś Gołąbko, napisz czy umiesz być tą pocieszycielką, która z arki rodzinnych i narodowych uczuć niesie ludziom słowa pokoju i miłości. Jeśli tak, to leć Gołąbko nad naszymi miastami i wsiami, a siej wszędzie ziarno nadziei i zgody w dążeniu do lepszego jutra.

Rozumiem uczucia szanownej twojej Babuni **Żmujdzinko**, bo i mnie obchody narodowe przypomniały wiele drogich sercu wrażeń, które przeżyłam w młodości. Nie zgadzam się jednak z tobą na przywdzianie kontuszów, chyba w nadzwyczajnych uroczystościach, gdyż strój to kosztowny, niedostępny dla wielu. Wołałabym już czamarkę lub siermięgę jako ubiór narodowy. Kontusz jest znamięm dostatku i buty, a nam pracy w pocie czoła potrzeba, żeby odrobić co zaniedbane.

Redakcja obiecuje posłać ci **Leśna Niezapominajko** numery pisma, o które prosisz, a ja dziękuję, że użyłaś mnie za pośredniczkę w tej sprawie, bo mam sposobność uściskania cię i doniesienia, że znam wszystkie książki, które czytałaś, zachwyam się też niemi gdyż są prawdziwie piękne.

Cieszę się twoją obietnicą **Bławatko polska**, chciejcie ją tylko spełnić obie z **Lilijką**, wdzięczną wam będę za to całym sercem.

Żałuję bardzo **Rezedo z nad Dniepru**, że przebywając tak blisko w czasie wakacji nie udało się Jaskółce spotkać kochanej Rezedy, gdyż właśnie najdłużej gnieźdzą się zwykle w wiosce, o którą pytasz i tam też poznałam kiedyś twoich braci. Ślicznie opisujesz podróż po kraju, dowiedziałam się nawet z twego listu kilku nieznanomych mi szczegółów. Co zaś do **Baryłki** to niech na nowo do ciebie napisze, ta kochana pieszczołka, gdyż nie śmiałabym kłopotać redakcyi odszukiwaniem dawnego listu.

Nie zapomniałam i ja o was drogie pisklęta z Ukrainy, ani o szanownej waszej Babce, bo przeżywamy czasy, w których z niepokojem myśli się o oddalonych. Dziękuję więc **Dumko, Ukrainko i Elżuniu** za słowa zachęty w pracy, za życzliwość jaką okazujecie starym ptakowi. On pragnie gorąco obudzić w duszach wszystkich swoich piskląt zgodne dążenie do pracy nad podniesieniem zbiorowej duszy narodu. Niech nie dziczeje, niech wyjdzie z próby czystsza i wszechnielkości pełna. Mamy w przeszłości naszej wielkie chwile i wielkie tradycje, ale mamy i błędy do wynagrodzenia. Oby *wszystkie* dzieci pomogły goić rany matki.

Brawo Blondynko z Ukrainy! chcesz być ogrodnikiem i umiesz ugotować obiad, jakże nie kochać takiej obiecującej osobki, jakże nie przytulić do serca dzielnego pisklęcia, które pragnie własną pracą zdobyć sobie podstawy niezależnego bytu. Pytasz jak wyglądam, zwyczajnie, jak stara przyjaciółka co sama wiele już lat liczy ale młodą jest z młodemi, bo ich kocha nie starzejącym się nigdy sercem.

Zostawiłam na koniec list **Ognistej z nad Piliicy**, gdyż chciałabym znaleźć dla ciebie wyłączone słowa zrozumienia, czyżby istnieć mogły przesady tam, gdzie chodzi o szczepienie zasad Chrystusowych, o naśladowanie cnót naszej Kunegundy, Jadwigi, Salomei, które monarszą godność podniosły tem właśnie, że królewskimi rękami ratowały nędzę i służyły jej. Czy się nie mylisz w sądzie o niektórych czy nie robisz im krzywdy przypisując śmieszne i małoduszne uprzedzenia? Nie zwlekaj z drugim listem, a mam nadzieję, że zawierać będzie lepsze wiadomości, że głębsz twój dostroi się do tonu wszystkich polskich dzieci, bo wszystkie one wołają o pracę w imię Boże nad ludem i z ludem

Jaskółka.



Zadania i łamigłównki.

REBUS.



Przeplatanka literowa.

ul. Józła Ordyńska.

1) dginoyz 2) aś 3) adekfrstyz 4) i 5) aajltun 6) ku
7) acprswy 8) cikóww 9) aby 10) mu 11) édeeüpowz 12)
ajjk 13) z 14) cichn 15) biilmorşyz 16) ektuyż.

W powyższych szesnastu grupach tak należy poprze-
stawiać litery, aby otrzymać zdanie, mówiące o wartości
czasu.

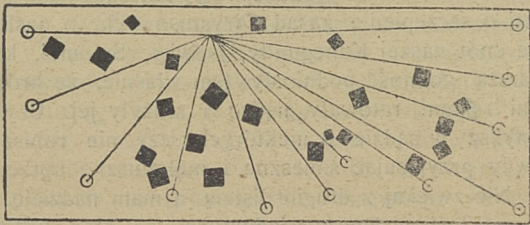
SZARADA.

ul. Juruś Majewski.

Bez *pierwszej*, jako żyję, gruszki nie widziałem
Trzydzięci jeden razy *drugi* bywa w *całem*,
Bo *całe* to jest takie znane wam zjawisko,
Co raz w rok się zdarza, zawsze końca blisko.

Rozwiązania do N-ru 44-go.

Łamigłówki kombinacyjnej:



Zadania arytmetycznego: Ojciec miał 40
lat, młodszy syn 4 lata, drugi 8 lat, trzeci 12 lat, czwarty
najstarszy 16 lat.

Zadanie to rozwiązuje się w ten sposób: przypuszcza-
my, że najmłodszy syn miał *rok*; ponieważ różnica w wie-
ku pomiędzy wszystkimi braćmi była jednakowa, więc wiek
drugiego z rzędu przypuszczamy 2 lata, trzeciego 3 lata,
czwartego 4 lata.

W tym wypadku dochodzimy do przekonania, że
wiek ojca, równający się sumie lat wszystkich synów wy-
nosiłby zaledwie 10 lat, a dodamy do przypuszczalnego
wieku drugiego syna dałby w sumie 12.

Zobaczymy o ile razy ta liczba mniejsza jest od
rzeczywistej. W tym celu 48 dzielimy przez 12 otrzymu-
jemy w rezultacie 4; z tego wynika że wiek każdego z syn-
now i ojca przypuszczony przez nas na początku zadania
czterokrotnie mniejszy jest od rzeczywistego czyli, że ojciec
ma lat $10 \times 4 = 40$, najmłodszy syn $1 \times 4 = 4$, drugi
 $2 \times 4 = 8$, trzeci $3 \times 4 = 12$, czwarty najstarszy $4 \times 4 = 16$

Szarady: Ra—dom

TREŚĆ:

W półwiekową rocznicę (z rycinami). — Mowa Hen-
ryka Sienkiewicza. — Fragment z „Dziadów“. — Młodość
przez J. Korzeniowskiego. — Samorząd i autonomia, przez
I. B. — Przyjaźń przez I. M. — Ze szkół i uczelni. — Ze
świata. — Skrzynka do listów. — Zadania i łamigłówki. —
Dodatek: Do dzieci (z ryc.) — Polska mowa (wiersz) przez
Wł. Belzę. — Opowiadanie, przez J. Marcinowską. — Ję-
drus przez J. Piasecką. — Woreczek na ściereczki (z ryc.)

OFIARY.

Dla najuboższych: Biała Lewkonijka rub 1
kop. 70. Lilla Weneda kop. 50.

Na wpis dla ucznia szkoły prywatnej Lilla
Weneda kop. 50.

NA GWIAZDKĘ!

Album „Miłośnikom Pamiątek”

z teki JANA OLSZEWSKIEGO

z wierszem wstępnym i zakończeniem przez Or-ota,
zawierający 24 kart dużego formatu z objaśnieniami hi-
storycznymi. Widoki i pamiątki stron Ojczyźnych wraz
z portretami zasłużonych ludzi.

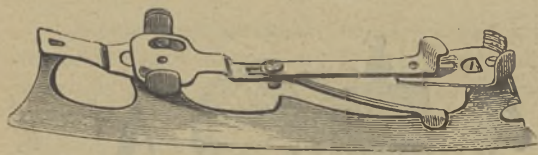
Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny:
GEBETHNER i WOLFF. Warszawa. Cena rub. 1, na pa-
pierze kredowym w oprawie 2 rub.

Darmo wysyłamy na żądanie
ilustrowany Cennik

Zabawek, Zajęć pożytecznych
i Gier towarzyskich oraz pouczających.
Wiśniakowski i Sp.

Warszawa.

Szpitalna № 8.



wszelkich najnowszych systemów

ŁYŻWY

Krzysztof Brun i Syn

w Warszawie Plac Teatralny.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub.
kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczynie Marya z Chomentowskich Ballńska.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.